



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

Express Wieczorny

Warszawa, Al. Jerozolimskie 125/127

DC

wydanie

Nr 109 z dn. 8-05-1974

Z teatru

Andrzej Hausbrandt

Strumień świadomości

„Bloomusalem” — James Joyce, przekład Maciej Słomczyński, reżyseria i scenografia — Jerzy Grzegorzewski, muzyka — Stanisław Radwan. Teatr Ateneum-Atelier, Warszawa

JANUSZ Warmiński — dyrektor stroniący od publicznych efektów i głośnej reklamy — zainstalował w „Ateneum” po prostu już trzecią scenę. Zwiąże się ona Ateneum-Atelier i przeznaczona jest dla bardziej ograniczonego kręgu odbiorców, dla trudniejszych eksperymentów formalnych i repertuarowych niż dwie poprzednie: duża i Scena 61. W mieście tak wielkim jak Warszawa, jest oczywiście miejsce i potrzeba dla tego typu inicjatyw, stąd też wypada podkreślić z uznaniem fakt „ujawnienia się” Ateneum-Atelier. Ujawnienia za pośrednictwem nie było kogo, bo samego Jamesa Joyce’a.

„Monolog wewnętrzny — pisze w „Le Monologue interieur” Edouard Dujardin — to w dziedzinie poezji (literatury) mowa bez słuchacza, nie wygłoszona, przez którą jakaś postać wyraża myśli najbardziej intymne i najbliższe sferze nieświadomego, myśli in statu nascendi, poprzedzające wszelkie logiczne uporządkowanie i oddane przy pomocy zdań niezależnych, wprowadzonych do minimum składniowego, w sposób robiący wrażenie przypadkowości”. Przykład stosowania monologu wewnętrznego dał sam Dujardin w opublikowanej pod koniec XIX wieku powieści „Les Lauriers sont coupés”, książce, która przypadkowo wpadła w ręce Joyce’a na dworcowym straganie i zrobiła na nim ogromne wrażenie. Ow monolog wewnętrzny, lub jak wolał Angilicy „stream of consciousness” (strumień świadomości), stał się metodą kształtującą konstrukcję literacką „Ullisesa” — najwybitniejszego dzieła wielkiego Irlandczyka.

Epizod XV „Ullisesa” — „Circe” jest napisany w formie zbliżonej do dramatu. „Jego znaczenie i stosunek do całości dzieła — twierdzi znakomity anglista prof. Grzegorz Sinko — w interesującym nas względzie najlepiej i najprościej określił w swym klasycznym już studium Harry Levin, mówiąc, iż uzewnętrzniają się tutaj przed światłami rampy, zapalonymi przez świadomość, joyceowskie monologu wewnętrzne i nagromadzone przedtem w dziele zasoby myśli oraz doświadczeń”.

Przypominanie, iż Joyce nie należy do najłatwiejszych pisarzy, jest oczywistym truizmem. Przypominanie, że przeniesienie Joyce’a na deski sceniczne, jego adaptowanie dla potrzeb teatru — to trud gigantyczny, też nie wymaga dowodu. Przed paru laty, na scenie Teatru Wybrzeże w Gdańsku, mieliśmy możliwość oglądać znakomitą adaptację „Ullisesa” pióra Macieja Słomczyńskiego. Przed paru tygodniami, na poświęconej trudniejszym eksperymentom scenie Ateneum-Atelier, uczestniczyliśmy w pierwszej, polskiej realizacji teatralnej epizodu XV, owej „Circe”, wystawionej pod tytułem „Bloomusalem”. Spektakl inscenizował, reżyserował oraz opracował plastycznie Jerzy Grzegorzewski, którego pamiętamy ze znakomitej „Ameryki” Kafki, również zrealizowanej w Ateneum.

Mimo niezwykle pomysłowości reżysera i kilku znakomych scen, nie można, niestety, uznać ostatniego przedstawienia za wydarzenie teatralne. Strumień świadomości nie zdołał bowiem wydrążyć sobie drogi do publiczności. Ani na tradycyjnej widowni i piętra, ani w innych pomieszczeniach teatru przemienionego na ten wieczór w jeden, wielki teren gry. Nie pomogły chwyt „teatru partycypacji”: mieszanie widzów z aktorami, ani inne zabiegi służące przełamywaniu barier pomiędzy oglądającymi i grającymi. „Bloomusalem” pozostało za szklaną ścianą. Odgródzone od nas, niezdolne do porwania w nurt burzliwego strumienia joyceowskiej świadomości.

Myślę, że brak dyscypliny intelektualnej w potraktowaniu tekstu, pokusy autonomicznej funkcji plastyki, wielopłaszczyznowość działań — zawazyły na inscenizacji w sposób fatalny. Dzieło stało się jeszcze trudniejsze w odczytaniu teatralnym, niż bezpośredniej lekturze. Powolny tok działań, równoczesność wielu manifestacji scenicznych, a wreszcie pewna kokieteria w natrętnym ukazywaniu sztuczności — owej szminki teatru — spowodowały, że widz czuł się zagubiony, znudzony i w końcu

jakoś zawiedziony. Pustka i osamotnienie ogarnęły jeszcze przed wyjściem na wydłużoną o północy (spektakl trwa od 22.00 do 23.45) ulicę Jerozolimską.

W przeciwieństwie do zasadniczych zastrzeżeń zgłaszanych pod adresem reżysera, same jeno pochwały należą się znakomitemu aktorom Teatru Ateneum. Przed wszystkim światnemu Markowi Walczewskiemu za kreację w roli Blooma, Andrzejowi Sewerynowi — poetyckiemu Stefanowi Dedalusowi, oraz Ewie Milde — niosącej przez cały spektakl stygmat joyceowskiej kobiecości. Słowa szczerzego uznania należą się również reszcie wykonawców z Grażyną Baraszewską, Elżbietą Kepińską, Haliną Kossobudzką, Hanną Skarżanką, Jerzym Kaliszewskim, Marianem Kocińskim i Zdzisławem Tobiaszem na czele. Niezwykła dyscyplina i godne podkreślenia poświęcenie, maestria warsztatowa i precyzja z jaką ci artyści, oraz ich koledzy, wykonywali trudne — niczym samotny bieg długodystansowca — zadania (zwłaszcza w II części spektaklu) zasługują na prawdziwe uznanie i szczerzy podziw. Oczywiście, że wolałoby się, aby zaprezentowali oni te umiejętności i oddanie teatrowi w spektaklu bardziej zbornym intelektualnie, lepiej służącym ludzkiemu myśleniu i odczuwaniu.

Obok sztuki aktorskiej najbardziej ważkim walorem artystycznym „Bloomusalem” (nie piszę o tekście, bo twierdzę, że bogactwo joyceowskiej wizji zawarte w epizodach XV nie ujawniło się w inscenizacji) jest znakomita muzyka Stanisława Radwana. Muzyka, która tu jakby spłynęła z kart „Ullisesa”.

Niezależnie od wszelkich „ale” zgłoszonych pod adresem inauguracyjnej premiery „Ateneum-Atelier”, należą się Teatrowi słowa serdecznego uznania za kolejną inicjatywę: otwarcie sceny „mającej umożliwić realizację przedstawień, które z powodu ryzyka artystycznego, a także z powodów technicznych, finansowych itp. nie znalazłyby miejsca w normalnych planach repertuarowych teatru”. Szkoda może, że Atelier nie dostało wspaniałych piwnic w Pałacu Ostrogskich, jak początkowo planowano. Ale ostatecznie lepiej na starych śmietniskach, niż wcale.

Czekamy na dalszy ciąg.